



KLĄTWIARZE

BIAŁY KOT • CZERWONA REKAWICZKA • CZARNE SERCE

KIŁA TWIA RZE

HOLLY BLACK

PRZEŁOŻYLI Stanisław KROSZCZYŃSKI i Zuzanna BYCZEK



Tytuł oryginału: *The Curse Workers*

Biały kot i Czarne serce – przełożył Stanisław Kroszczyński

Czerwona rękawiczka – przełożyła Zuzanna Byczek

Redakcja: Justyna Techmańska

Korekta: Renata Kuk, Małgorzata Szewczyk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Zdjęcie wykorzystane na okładce: © APM STOCK/Shutterstock.com

Zdjęcie autorki: © Holly Black

Copyright © 2021 by Holly Black

All rights reserved.

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-022-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2021

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

SPIIS TREŚCI

BIAŁY KOT 7

CZERWONA RĘKAWICZKA 259

CZARNE SERCE 505

LILA ZACHAROV W 13 ODSŁONACH 745



BIAŁY
KOT

*Wszystkim fikcyjnym kotom,
które uśmierciłam w innych książkach*

1

Śni mi się biała kocica, w odcieniu kości słoniowej. Siedzi na mnie, oddycha, jakby próbowała wciągnąć powietrze z moich płuc. Jednak nie, za to odgryza mi język. Bólu nie czuję, tylko ogarnia mnie bezmierna, dusząca panika. W tym śnie mój język jest czerwonym, wijącym się przedmiotem, mokrym, wielkości myszy. Chcę go odzyskać. Jednak kotka ucieka z nim w pyszczku, zmierzając ku uchylonym drzwiom. Zrywam się z łóżka i próbuję ją złapać, ale jest na to zbyt zwinna, zbyt szybka. Ucieka, gonię ją.

Budzę się; jestem boso, balansuję na zimnych dachówkach, dach jest spadzisty. Kręci mi się w głowie, kiedy spoglądam w dół; wdycham lodowate powietrze. Sen wciąż jest obecny, nie mogę się z niego otrząsnąć, jakby mnie oblepił pajęczą nicią wspomnienia. Moje serce wali jak oszalałe.

Lunatykowanie oznacza wojnę ze swoją nieświadomością, która chce, żebyś robił różne rzeczy, których wcale robić nie chcesz. Chce cię zabrać w różne miejsca, na co wcale się nie zgodziłeś. Na przykład moja podświadomość chyba chce mnie doprowadzić najkrótszą drogą do śmierci za młodu.

Niebo gwiazdziste nade mną. Pode mną posąg z brązu przedstawiający pułkownika Wallingforda, dzięki któremu uświadamiam sobie, że spoglądam na dziedziniec ze szczytu Smythe Hall, swojego internatu.

Zupełnie nie pamiętam, żebym wchodził schodami na dach. Co więcej, nawet nie mam pojęcia, jak się tu dostałem, co stanowi problem o tyle, że w jakiś sposób muszę się znaleźć na dole. Najlepiej w taki, który nie będzie równoznaczny z utratą życia.

Noc jest bezgłośna, to taka cisza pośród ciemności, w której każde szurnięcie nogą i pospieszny oddech rozlegają się gromkim echem. Kiedy czarne kontury drzew wznoszących się nad moją głową wydają szelest, nie

mogę powstrzymać nerwowego drgnienia. Moja stopa ślizga się na czymś. Na mchu.

Próbuję odzyskać równowagę, ale moje nogi same odjeżdżają.

Usiłuję chwycić się czegoś, szorując nagą klatką piersiową po dachówkach. Moja dłoń mocno uderza o ostrą krawędź listwy miedzianego okucia, lecz prawie nie czuję bólu. Rozpaczliwie przebieram nogami, aż moja stopa natrafia na płótek mający przeciwdziałać osuwaniu się śniegu z dachu. Czepiam się go paluchami, przestaję zjeżdżać. Aż się śmieję z poczucia ulgi, chociaż jednocześnie tak strasznie się trzęsę, że w żaden sposób nie zdołałbym się wspiąć z powrotem.

Palce drętwieją mi od chłodu. Mój mózg szaleje od adrenaliny.

– Ratunku – odzywam się półgłosem. Czuję, jak w gardle wzbiera mi nerwowo, opętańczy śmiech, bo dociera do mnie komizm tej sytuacji zmieszany z przerażeniem. Przygryzam wewnątrz policzka, aby się opanować.

Nie chcę wołać o pomoc. Jestem w samych slipkach. To będzie strasznie krępujące.

W mroku przyglądam się powierzchni dachu, próbuję wypatrzeć te płotki przeciwsnieżne, właściwie to są tylko płytki z przezroczystego plastiku, które mają powstrzymać osuwanie się płatów śniegu czy lodu, małe trójkąciki, które nie po to tu są, żeby wytrzymać ciężar kogoś takiego jak ja. Może jeśli uda mi się zbliżyć do okna, zdołam zejść.

Wysuwam stopę, przemieszczam się najwolniej, jak potrafię, pełzną w stronę najbliższego występu. Szoruję brzuchem po dachówkach, niektóre są szorstkie i pokruszone. Opieram się o pierwszy płótek przeciwsnieżny, potem opuszczam się na kolejny, niżej jest już krawędź dachu. Oddycham ciężko, a okna są o wiele za daleko, poza zasięgiem i teraz już nie mam dokąd iść. Nie mam też żadnego planu. Stwierdzam więc, że od wstydu jeszcze nikt nie umarł.

Biorę kilka głębszych wdechów, wciągam do płuc zimne powietrze i wrzeszczę:

– Hej! Hej! Ratunku!

Noc pochłania mój głos. Słyszę w oddali szum autostrady, ale okna przede mną milczą.

– HEJ!!! – tym razem drę się najgłośniej, jak potrafię, na tyle głośno, że zdzieram sobie gardło. – Ratunku!

W jednym z pokojów zapala się światło, widzę dłonie przyciśnięte do szyby. Chwilę później okno się rozsuwa.

– Co jest? – pyta jakiś senny głos w dole. Ten głos przez chwilę przypomina mi inną dziewczynę. Martwą dziewczynę.

Wysuwam głowę za krawędź i staram się przywołać na twarz pełen ubolewania uśmiech. Tak, żeby ta nie spanikowała.

– Tutaj – odzywam się. – Na dachu.

– O Boże! – wykrzykuje cicho Justine Moore.

Willow Davis staje w oknie.

– Sprowadzę kierownika.

Przyciskam policzek do lodowatej dachówki i próbuję sobie wmówić, że wszystko jest dobrze, nikt mnie w to nie zrobił, nikt na mnie nie rzucił klątwy i jeżeli jeszcze trochę wytrzymam, jakoś z tego wyjdę.

Na dole gromadzi się tłumek, ludzie wylegają z internatu.

– Skacz! – drze się jakiś debil. – No, już!

– Panie Sharpe! – woła dziekan Wharton. – Proszę natychmiast stamtąd zejść, panie Sharpe! – Jego srebrne włosy sterczą na wszystkie strony, jakby został porażony prądem, a szlafrok ma założony na lewą stronę i krzywo związany. Cała szkoła widzi jego kalesony.

Oczywiście nie on jeden jest w bieliźnie. Może i wygląda śmiesznie, ale ja prezentuję się znacznie gorzej.

– Widzę tylko jedną drogę w dół – odkrzykuję. – Na tym właśnie polega problem.

– Casselu! – woła pani Noyes. – Proszę nie skakać! Wiem, że nie było łatwo... – tu urywa, bo chyba nie bardzo wie, co mówić dalej. Pewnie próbuje sobie przypomnieć, jakie to trudności stanęły mi na przeszkodzie. Mam dobre stopnie. Nieźle się dogaduję z innymi. A może chodzi o to, że w końcu skoro czyjaś matka siedzi w więzieniu, a brat wysługuje się mafii, to ten ktoś musi mieć problemy.

Znowu patrzę w dół. Błyskają flesze aparatów w komórkach. Pierwsze roczniki wychylają się z okien sąsiedniego Strong House, uczniowie starszych klas wciąż się gromadzą, ubrani w pizamy i szlafroki, choć nauczyciele desperacko usiłują zagonić ich z powrotem do budynków.

Uśmiecham się, jak potrafię, tak jakby to wszystko było jakimś superprankiem i hecą stulecia.

– No cześć... – mówię pod nosem.

Szkoda, że moja podświadomość nie wpadła na pomysł, żeby wziąć ze sobą na dach farbę w spreju. Gdyby o tym pomyślała, za życia stałbym się legendą.

– Proszę zejść, panie Sharpe! – wrzeszczy dziekan Wharton. – Ostrzegam pana!

– Nic mi nie jest, pani Noyes – wołam, ignorując Whartona. – Po prostu nie wiem, jak się tu dostałem. Chyba lunatykowałem.

Z dala dobiega wycie syreny, rozlega się coraz wyżej. Policzki drętwieją mi od uśmiechu.

Kiedy ostatni raz znajdowałem się w gabinecie dziekana, towarzyszył mi dziadek, zapisywał mnie do tej szkoły. Pamiętam, że widziałem wyraźnie, jak wysypuje miętówki z kryształowego talerzyka do kieszeni swojego płaszcza, tymczasem dziekan Wharton perorował, jaki to obiecujący ze mnie wyrósł młodzieniec. Kryształowa miseczka powędrowała do drugiej kieszeni.

Teraz jestem owinięty kocem, siedzę na tym samym fotelu, obitym zieloną skórą i nerwowo skubię bandaż na dłoni. Rzeczywiście, wyjątkowo obiecujący młody człowiek ze mnie.

– A więc to somnambulizm? – pyta dziekan Wharton. Ma teraz na sobie garnitur z brązowego tweedu, wciąż jednak się nie uczesał. Stoi obok regału, który ugina się pod tomiszczami przestarzałych encyklopedii, przesuwa palcem w rękawiczce po ich kruszących się ze starości skórzanych grzbietach.

Spostrzegam, że na biurku stoi nowa miseczka, teraz już taniocha, też pełna miętówek. Szkoda, że nie aspiryny, bo łeb mi pęka.

– Kiedyś mi się zdarzało lunatykować – odpowiadam. – Ale to było dawno temu.

Somnambulizm nie jest taki znów rzadki u młodych ludzi, zwłaszcza chłopaków. Sprawdziłem to w internecie, jeszcze kiedy miałem trzynaście lat. Tego dnia obudziłem się przed domem, siny z zimna i nie mogłem pozbyć się przedziwnego wrażenia, że właśnie skądś wracam, tylko nie mogę sobie dokładnie przypomnieć skąd.

Przez szybki okna z ołowianymi okuciami widzę, jak wschodzące słońce pozłaca czubki drzew. Dyrektorka, pani Northcutt, ma zaczerwienione oczy. Pije kawę z kubka ozdobionego logo szkoły Wallingforda; ściska go w dłoniach tak mocno, że skóra na knykciach jej rękawiczek wygląda, jakby miała zaraz z trzaskiem pęknąć.

– Słyszałam, że masz problemy ze swoją dziewczyną – powiada pani Northcutt.

– Nie – zaprzeczam. – Nic podobnego.

Audrey zerwała ze mną po feriach zimowych, miała dosyć moich sekretów. Nie można mieć problemów ze swoją dziewczyną, kiedy już się nie ma swojej dziewczyny.

Dyrektorka pokasłuje dyskretnie.

– Niektórzy studenci twierdzą, że przyjmujesz zakłady. Masz jakieś kłopoty z tego powodu? Jesteś komuś winny pieniądze?

Spuszczam głowę, powstrzymuję uśmiech na wzmiankę o moim kryminalnym mikroimperium. Nic takiego, drobne fałszerstwa i bukmacherka na umiarkowaną skalę. Żadnych oszustw czy nadużyć, nawet nie uległem sugestii mojego brata Philipa, który wpadł na pomysł, żebyśmy stali się głównym dostawcą zakazanego nieletnim alkoholu. Jestem prawie pewien, że dyrektorka nie ma nic przeciwko zakładom, ale jednak im mniej o nich wie, tym lepiej – bo najczęściej dotyczą one tego, który nauczyciel przeleci którą nauczycielkę. Na przykład po Whartonie i Northcutt nikt normalny by się tego nie spodziewał, ale to nie zmienia faktu, że niektórzy chętnie wykładają gotówkę, licząc na wiążącą się z małym prawdopodobieństwem wysoką wygraną.

Potrząsam głową.

– Czy zdarzały się panu ostatnio gwałtowne zmiany nastroju? – pyta dziekan Wharton.

– Nie – odpowiadam.

– Może dokuczał panu brak apetytu albo uległ zakłóceniu rytmu pana snu? – To brzmi, jakby wykuł na pamięć zdania z jakiejś książki.

– Tak, problem polega na kłopotach ze snem – mówię.

– Ale na czym konkretnie? – dopytuje pani Northcutt, nagle skupiona i zainteresowana.

– Na niczym! Tylko na tym, że lunatykuję. Nic więcej, nie zamierzałem popełnić samobójstwa. Zresztą nawet gdybym chciał się zabić, to na pewno nie skoczyłbym z dachu. A gdybym jednak przypadkiem miał ochotę skoczyć z dachu, to przecież włożyłbym przedtem spodnie.

Dyrektorka upija łyk z kubka. Już nie zaciska tak mocno dłoni.

– Zgodnie z opinią naszego prawnika nie może pan przebywać w internacie, dopóki nie otrzymamy podpisanego przez lekarza zapewnienia, że podobna sytuacja się nie powtórzy. Po prostu nie możemy ryzykować, chodzi o ubezpieczenie.

Spodziewałem się, że nie będzie przyjemnie, ale nie oczekiwałem ani tak bezpośredniej szczerości, ani tak poważnych konsekwencji. Myślałem, że po prostu zbiorę opieprz. Może nawet zarobię parę karnych punktów. Przez chwilę stoję, jakby mnie piorun strzelił.

– Przecież nie zrobiłem nic złego.

Co jest oczywiście bzdurą. Po pierwsze, nieszczęścia chodzą po ludziach i to wcale nie tych, którzy na to zasługują. Po drugie, zrobiłem w życiu sporo złych rzeczy.

– Pana brat po pana przyjedzie – oznajmia dziekan. Spoglądają na siebie z dyrektorką, dłoń Whartona odruchowo wędruje ku szyi, gdzie widzę kolorowy sznurek, a pod białą koszulą zarys amuletu.

Już rozumiem. Podejrzewają, że rzucono na mnie klątwę. Mało kto nie wie, że mój dziadek był klątwarzem śmierci na usługach rodziny Zacharov. Najlepszym dowodem są poczerńnięte kikuty pozostałe po jego palcach. A jeżeli czytają gazety, to wiedzą o mojej matce. Od tego wszystkiego łatwo o proste skojarzenie ze strony Whartona czy Northcutt: wszystkie moje nietypowe zachowania mogą być spowodowane zbyt bliskimi związkami z klątwarstwem.

– Nie możecie państwo mnie wywalić za lunatykowanie – mówię, wstaję przy tym. – To nie może być zgodne z prawem. To jest chyba jakaś dyskryminacja ze względu na... – urywam, bo nagle przechodzi mnie zimny dreszcz. Przecież naprawdę możliwe, że ktoś mnie przeklął. Próbuję sobie przypomnieć, czy ktoś nie musnął mnie dłonią, ale chyba raczej nikt nie dotykał mnie bez rękawiczki.

– Nie podjęliśmy jeszcze żadnej decyzji co do pańskiej przyszłości w szkole Wallingforda.

Dyrektorka przerzuca jakieś papiery. Dziekan dolewa sobie kawy.

– Nie muszę przecież nocować w internacie, mógłbym tylko przychodzić w dzień na lekcje.

Nie mam ochoty spać w pustym domu ani tym bardziej natknąć się na któregoś z moich braci, ale trudno. Zrobię, co tylko będzie trzeba, byle moje życie było takie... jakie było.

– Proszę wrócić do swojego pokoju i spakować rzeczy. Będziemy to traktowali jak zwolnienie z powodu choroby.

– Dopóki nie dostanę zaświadczenia od lekarza – podkreślam.

Żadne z nich nie odpowiada, więc stoję jeszcze przez chwilę w niezręcznym milczeniu, a potem ruszam do drzwi.

Tylko nie współczujcie mi za bardzo. Najlepiej, jak od razu wyjawię wam najważniejszą paskudną prawdę o sobie: kiedy miałem czternaście lat, zabiłem dziewczynę. Na imię miała Lila, była moją najlepszą przyjaciółką i ją kochałem. A jednak ją zabiłem. Prawie nic z tego nie pamiętam, wszystko jest jak we mgle, ale bracia zastali mnie nad jej trupem z zakrwawionymi dłońmi i dziwnym uśmiechem na ustach. Najbardziej z tego wszystkiego pamiętam, jak patrzyłem na Lilę i miałem takie dziwne uczucie popieprzonej satysfakcji, że właśnie coś mi uszło na sucho.

Nikt nie wie, że jestem mordercą, to znaczy wie tylko moja rodzina. No i niestety ja.

Nie chcę być taką osobą, więc większość czasu spędzam na udawaniu i kłamstwach. Trzeba się naprawdę postarać, żeby udawać kogoś, kim się nie jest. Nie liczy się więc muzyka, którą lubię, ważna jest muzyka, którą powinienem lubić. Kiedy miałem dziewczynę, starałem się ją przekonać, że jestem takim kolesiem, jakim chciała, żebym był. Kiedy jestem pośród ludzi, z początku trzymam się na uboczu, ale tylko dopóki nie zorientuję się, jak ich rozśmieszyć. Na swoje szczęście, jeśli jestem w czymś naprawdę dobry, to właśnie w udawaniu i kłamstwach.

Mówiłem, że w życiu zrobiłem sporo złego.

Człapię, wciąż boso, wciąż jeszcze owinięty postrzępionym strażackim kocem, przez rozświetlony słońcem kwadratowy dziedziniec, zmierzam do

mojego pokoju w internacie. Sam Yu, mój współlokator, zawiązuje właśnie cienki krawat na kołnierzyku pogniecionej koszuli. Kiedy wchodzę, spogląda na mnie, zaskoczony.

– Nic mi nie jest – mówię znużonym głosem. – Tak na wypadek, gdybyś chciał spytać.

Sam jest wielbicielem horrorów, więc zapełnił nasz pokój maskami alienów o oczach chrząszczy, wykleił ściany krwistymi plakatami. Jego rodzice chcą, żeby poszedł na MIT, a potem, żeby się załapał do jakiejś przynoszącej krocie firmy farmaceutycznej. On chce opracowywać efekty specjalne do filmów. Choć zbudowany jest jak niedźwiedź i ma obsesję na punkcie sztucznej krwi, ma zbyt dobre serce, żeby wyjaśnić starym, na czym polega to nieporozumienie dotyczące jego przyszłości. Jesteśmy tak jakby przyjaciółmi, przynajmniej chciałbym, żeby tak było.

Raczej nie zadajemy się z tymi samymi ludźmi, dzięki czemu trochę łatwiej się przyjaźnić.

– W każdym razie nie zamierzałem... No, zrobić tego, co myślisz – wyjaśniam. – Nie zamierzam umierać ani nic w tym rodzaju.

Sam uśmiecha się, wciąga szkolne rękawiczki.

– Może to lepiej, że nie śpisz na golasa. Tylko tyle chciałem powiedzieć w tej sprawie.

Parskam, po czym rzucam się na swoje wyro. Prycza skrzypi. Na poduszce leży nowa koperta oznaczona kodem, z którego wynika, że jakiś pierwszoklasista chce postawić na Victorię Quaroni jako na zwyciężczynię konkursu młodych talentów. Prawdopodobieństwo jest nikłe, natomiast pieniądze przypominają mi, że pod moją nieobecność ktoś musi się zająć rachunkami i wypłatami.

Sam trąca nogą moje łóżko.

– Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

Kiwam głową. Wiem, powinienem mu powiedzieć, że wracam do domu, że będzie jednym z tych szczęściarzy, którzy mają cały pokój dla siebie, ale jakoś nie chce mi się zaburzać własnego, błęgiego poczucia normalności.

– Spać mi się chce.

Sam sięga po swój plecak.

– Do zobaczenia na lekcjach, wariacie.

Unoszę zabandażowaną dłoń w pożegnalnym geście, potem coś przychodzi mi do głowy.

– Wiesz co? Zaczekaj.

Już wyciągał dłoń do klamki, odwraca się z pytającym wyrazem twarzy.

– Tak sobie myślę... że gdyby mnie nie było, to wiesz... Myślisz, że mógłbyś przyjmować od ludzi kasę, dopóki nie wrócę?

Nie mam ochoty tego robić, bo w ten sposób, po pierwsze, zaciągam wobec niego dług wdzięczności, a po drugie, sam przed sobą przyznaję, że naprawdę mnie wywalili. Nie zamierzam jednak rezygnować ze swojej głównej działalności w Wallingfordzie.

Sam się waha.

– Dobra, zapomnij – mówię. – Nie ma tematu...

Przerywa mi:

– Dostanę procent?

– Dwadzieścia pięć – odpowiadam. – Tak, dwadzieścia pięć procent, ale w takim razie będziesz musiał robić trochę więcej, niż tylko zbierać kasę.

Powoli kiwa głową.

– Dobra, dogadamy się.

Szczerzę zęby w uśmiechu.

– Jesteś najbardziej godnym zaufania osobnikiem w okolicy.

– Dobrze przysłodzić nigdy nie zaszkodzi – stwierdza sentencjonalnie Sam.

– Pochlebstwo jest dobre na wszystko. No, może oprócz złażenia z dachu.

– Dobre, dobre – stwierdzam i stękam. Dźwigam się z łóżka, żeby wyciągnąć z szafki parę czystych mundurowych spodni. Są czarne i szorstkie.

– Ty, ale dlaczego ma cię nie być? Przecież chyba cię za to nie wywalili? Mógłbyś im wytoczyć proces.

Właśnie wciągam spodnie. Odwracam się, ale myślę, że i w moim głosie słychać to, czego nie chciałbym po sobie pokazać.

– Wywodzę się z rodziny kryminalistów i hochsztaplerów, więc akurat w moim wypadku droga sądowa jest raczej drogą donikąd. Northcutt i Wharton dobrze o tym wiedzą. Nie. Nie wiem. Może ci powiedziec, co masz robić?

Kiwa głową.

– Dobrze. Pewnie.

– Dam ci mój notes z rankingami, wyliczeniami i wszystkim. Ty masz tylko zapisywać przyjmowane zakłady. – Wstaję, przysuwam swoje krzesło do szafki i wchodzę na nie. – Masz.

Trafiam palcami na notes, który taśmą przykleiłem nad drzwiami. Odrzynam go. Jest tam jeszcze jeden, z drugiej klasy – już wtedy stwierdziłem, że biznes się rozwinął i nie mogę polegać wyłącznie na swojej nawet całkiem niezłej, ale przecież nieabsolutnej pamięci.

Sam się uśmiecha, trochę blado, bo jest pod wrażeniem, że przez cały ten czas nie odkrył mojej skrytki.

– Chyba sobie poradzę.

Przerzuca kartki z zanotowanymi zakładami, wszystkimi od początku roku, razem z szansami. Są tam zakłady dotyczące tego, czy mysz grasująca po Stanton Hall zostanie zabita przez Kevina Browna za pomocą jego młotka, czy też doktora Milтона przy użyciu potrzasku z bekonową przyrętną, czy może schwyta na pomoc wabiącej sałatą całkowicie humanitarnej pułapki. (Kursy wskazują na młotek). Zakłady co do tego, czy główną rolę kobiecą w Pippinie otrzyma Amanda, Sharone czy Courtney oraz czy ostatecznie w przedstawieniu nie wystąpi dublerka. (Na razie wiadomo, że casting wygrała Courtney, próby już się rozpoczęły). Albo też ile razy w danym tygodniu w stołówce pojawią się „brownies orzechowe bez orzechów”.

Prawdziwi bukmacherzy pobierają marżę w oparciu na zbilansowanych rachunkach gwarantujących zysk. To znaczy, że kiedy ktoś stawia pięć dolarów, to tak naprawdę zakład dotyczy czterech dolarów i pięćdziesięciu centów, pozostałe pięćdziesiąt idzie do bukmachera. Bukmachera nie obchodzi, kto wygra, interesuje go tylko, czy odpowiednio ustalił prawdopodobieństwo, tak żeby pieniądze uzyskane od przegranych wystarczyły na opłacenie zwycięzców. Tyle że ja nie jestem prawdziwym bukmacherem, a ludzie z Wallingforda chcą się zakładać o różne głupoty, takie rzeczy, które mogą nigdy nie dojść do skutku. Mają sporo kasy do wyrzucenia. Czasem więc obliczam kursy we właściwy sposób – tak, jak zrobiłby to prawdziwy bukmacher – a czasem wyliczam je po swojemu i po prostu mam nadzieję, że zgram wszystko i nie będę musiał wypłacić komuś wygranej, na którą mnie nie stać. Można więc powiedzieć, że i ja uprawiam hazard.

– Pamiętaj – mówię – tylko gotówka. Żadnych kart kredytowych, żadnych zegarków.

Otwiera szeroko oczy.

– No co ty? Naprawdę komuś się zdaje, że masz tutaj maszynę do kart kredytowych?

– Nie – odpowiadam. – Chcą, żeby wziąć ich kartę i kupić coś, co kosztuje tyle, ile są winni. Nie rób tego, to wygląda, jakbyś ukradł takiemu kartę i możesz mi wierzyć, tak właśnie będą zeznawać przed rodzicami.

Sam zastanawia się chwilę, potem się odzywa:

– No.

– Dobra – opowiadam dalej. – Na biurku leży nowa koperta. Nie zapominaj wszystkiego zapisywać.

Wiem, że zrzędzę, nie mogę mu jednak po prostu powiedzieć, że te pieniądze są mi potrzebne. Nie jest łatwo w takiej szkole, kiedy nie ma się pieniędzy na te wszystkie drobiazgi, o których nikt nie mówi, jak ubrania czy zamówienie pizzy. Nie mówiąc już o tym, że jestem jedynym siedemnastolatkiem u Wallingforda, który nie ma swojego samochodu.

Daję znak, żeby podał mi notes.

Właśnie umieszczam go na swoim miejscu, kiedy ktoś wali do drzwi, aż o mało nie spadam z krzesła. Nim któryś z nas zdoła się odezwać, drzwi się otwierają, do środka wmaszerowuje kierownik naszego internatu. Patrzy na mnie w taki sposób, jakby się spodziewał, że właśnie zamierzałem się powiesić na własnym prześcieradle.

Zeskakuję z krzesła.

– Właśnie...

– Właśnie mi zdjął torbę, dzięki – wtrąca Sam.

– Samuelu Yu – odzywa się pan Valerio. – Jestem niemal pewien, że minął już czas śniadania i zaczęły się lekcje.

– Założę się, że się pan nie myli – rzuca Sam, puszcza do mnie oko.

Mógłbym wyrolować Sama, gdybym chciał. Zrobiłbym to właśnie w taki sposób: poprosił o pomoc, zaproponował jednocześnie jakiś drobny profit. I naciągnął na nieco kasy jego starych. No więc mógłbym go w ten sposób przerobić, ale tego nie zrobię.

Poważnie, nie zrobię tego.

Drzwi zatrząskują się za Samem, a Valerio wygłasza do mnie następujący tekst:

– Pana brat nie może przyjechać, będzie dopiero jutro rano, więc musi pan na razie uczestniczyć w lekcjach razem z innymi uczniami. Wciąż jeszcze nie ustaliliśmy, gdzie pan spędzi noc.

– Zawsze możecie mnie przywiązać do łóżka – podpowiadam, ale Valeria wyraźnie to nie bawi.

Moja matka wyłożyła mi podstawy hochsztaplerki mniej więcej wtedy, kiedy tłumaczyła mi, na czym polega kłątwarstwo. Dla niej klątwa stanowiła sposób na osiągnięcie tego, co chciała, po czym wymigiwała się od odpowiedzialności za klątwę za pomocą hochsztaplerki. Nie potrafię zmusić ludzi, żeby w jednej chwili pokochali lub znienawidzili, a ona to umie. Ani sprawić, żeby ich ciało zwróciło się przeciwko nim, tak, jak potrafi tego dokonać Philip, ani odebrać im szczęścia i powodzenia, co robi mój drugi brat, Barron, natomiast nie trzeba być kłątwarzem, żeby być przekręciarzem.

Dla mnie klątwa jest tylko przeszkodą, ale za to przekręt – rządzi.

Właśnie matka mnie nauczyła, że jeśli chcesz kogoś wyruchać – albo za pomocą magii i sprytu, albo samym sprytem – musisz znać ofiarę lepiej, niż ona zna samą siebie.

Pierwsza rzecz, którą powinieneś zrobić, to zdobyć jej zaufanie. Oczarować. Zadbać, żeby miała pewność: jest cwańsza od ciebie. A potem to ty – albo jeszcze lepiej, twój współnik – podsuwasz sugestię.

Najlepiej, jeśli ofiara najpierw dostanie coś za darmo. Albo prawie. W tym biznesie to się nazywa „podpuchą”. Potem koleś czuje się fajnie, bo już ma kasę w kieszeni i przecież w każdej chwili może odejść, no i wtedy przestaje się pilnować.

Drugi etap to zwiększenie stawki. Naprawdę do sporego poziomu. Dla mojej mamy to drobiazg i łatwizna. Kształtuje emocje, więc może każdego zmusić, żeby jej zaufał. Musi jednak przestrzegać tych samych zasad, żeby później, kiedy tamci będą się zastanawiać, co im się przydarzyło, nie zorientowali się, do końca nie wiedzieli, że przerobiono ich za pomocą czarostwa.

A potem ostateczne uderzenie – no i warto szybko zniknąć.

Ktoś, kto chce żyć z przekrętów, musi być przekonany, że jest bardziej kumaty niż pozostali i że przewidział każdy scenariusz. Że wszystko ujdzie mu na sucho. Że każdego jest w stanie zrobić w durnia.

Chciałbym móc powiedzieć, że nie myślę o tych sztuczkach, kiedy mam do czynienia z ludźmi, jednak różnica między mną a moją mamą polega na tym, że ja siebie samego nie oszukuję.